

Śmiech na cztery głosy

"Kwartet" - aut. Ronald Harwood - reż. Wojciech Adameczyk - Teatr Ateneum w Warszawie

Ronald Harwood co najmniej dwukrotnie mierzył się z tematem schyłku życia artysty, ekwiwalentnie poruszając się w gatunkach dramaturgicznych. Najpierw napisał, najbardziej zresztą znaną ze swoich sztuk, wystawianą nieustannie na całym świecie, chętnie ekranizowaną w imponujących obsadach, tragedię w gruncie rzeczy – czyli „Garderobianego”.

W dwadzieścia lat później miała miejsce, na deskach jednej z najsłynniejszych scen West Endu, The Albery Theater, noszącego obecnie imię Noela Cowarda, legendy londyńskiego teatru, premiera klasycznej komedii, czyli „Kwartetu”.

Historia w niej opisana jest niezwykle prosta. Osoby dramatu, w przeszłości królowe i królowie scen operowych świata, stale rywalizujący o miejsce w śpiewaczej hierarchii, niezmiennie i konsekwentnie posługujący się złośliwością, sarkazmem i ironią, z ewidentną zresztą maestrią, spędzają ostatnie lata w domu artysty weterana. Przesiadują tam przez większą część dnia w tym samym pomieszczeniu, słuchając swoich arii, duetów, tercetów i kwartetów z dni świetności, na pozór izolując się w zaciszu rozpamiętywanych po raz enty własnych biografii, wypatrując jednakże każdej okazji werbalnej potyczki. Przypominają czworo doświadczonych zawodników dialektycznej semantyki przyuczonych w narożnikach ringu, gdzie walczy się na słowa, które, jak doskonale wiadomo, bywają ostrzejsze niż idealnie wyszlifowana brzytwa. Pędzą więc kolejne dni, a w długich przerwach pomiędzy posiłkami raczą się obficie uszczypliwosciami i docinkami, wszystko to podając w solidnie zalatującym naftaliną anturażu. Co dzień grają te same role, tym razem jednak z mikroskopijną widownią, w podniszczonych kostiumach i niezmiennej scenografii.

Na początku jest ich zresztą na scenie tylko trójka: Cecyli – mezzosopran, Reginald – tenor i Wilfred – baryton, zelektryzowanych informacją, iż mają uświetnić rocznicową uroczystość instytucji, w której los ich uwięził, wykonaniem słynnego kwartetu Bella figlia del amore z „Rigoletta” Giuseppe Verdiego, wspólnego śpiewaczego opus magnum, dzięki któremu dali się poznać i zapamiętać, przynajmniej na czas jakiś, światu. Monotonia ich egzystencji zyskuje zatem ekscytujący kontrpunkt. Tempo spektaklu podkreśla druga intrygująca wieść. W pensjonacie pod klepsydrą pojawia się nowa rezydentka, którą okazuje się być Jean – sopranistka, najsłynniejsza z nich wszystkich, do tego w przeszłości żona Reginalda. Jak widać Harwood perfekcyjnie zadbał o wszystkie składniki pikantnego qui pro quo, gwarantując fantastyczną zabawę, niepozbawioną na szczęście sporej dozy refleksji. „Kwartet” to, gdzikolwiek by tej komedii nie wystawiano, przedstawienie gwiazdorskie, wręcz napisane dla tych, którzy już powoli mogą się przymierzać do życiowych dylematów Cecyli, Jean, Reginalda i Wilfrieda, czyli w jakiejś mierze profetyczne, choć uchowaj Boże od podobnego kontekstu. Nikt jednak od tego tematu nie ucieknie, a w przypadku artystów schodzenie ze sceny bywa procesem szczególnie bolesnym, trudno więc nie dostrzec w tym dramacie przewrotnej dydaktyki, łączącej nostalgiczny sarkazm z sympatią. Przesłanie „Kwartetu” jest poza dyskusją ponadczasowe, a nawet pandemiczne, bo przecież to słowo, tak jednoznaczne obecnie, ma też inny, obecnie zapomniany, ale ważny uzus, jako coś, co należy do ogółu, uniwersalne właśnie, o czym wypada przypomnieć, licząc iż kiedyś, w normalniejszych czasach, będziemy się nim także posługiwać w odmiennym niż dzisiejsze znaczeniu.

Oglądamy więc na niedawno uruchomionej Scenie 20 w Ateneum przedni pokaz sztuki aktorskiej w wykonaniu Magdaleny Zawadzkiej, Sylwii Zmitrowicz, Krzysztofa Gosztyły i Krzysztofa Tyńca. Czwórka rutyniarzy, a używam tego terminu, w ślad za słownikiem, tylko jako synonimu słów takich jak: autorytet, mistrz, zawodowiec, znawca czy chodząca znakomitość, daje prawdziwy koncert gry, doceniony przez publiczność zasłużoną owacją na stojąco. Inscenizacja Wojciecha Adameczyka ma też pewien zaskakujący, w obliczu dotychczasowych warszawskich wystawień „Kwartetu”, smaczek. Klamrą spinającą sceny spektaklu są występy mima, bowiem w dojrzałym życiu gest, mina, a szczególnie uśmiech na twarzy, bywa cenniejszy w ekspresji niż słowo czy głos, szczególnie kiedy ten ostatni nie chce nam służyć jak dawniej, co w tym przypadku jest błyskotliwą i oryginalną antycypacją finału.

„Kwartet” to komedia z pewnymi elementami farsy, jednak z gatunku empatycznych, która nie boi się ostrej kreski w opisie tematów trudnych, bo przecież humor, ironia i sarkazm to najskuteczniejsza broń jaką mamy do dyspozycji w potyczkach z losem. Jak najślusniej mawiał Gogol, śmiejmy się z siebie, choć bywa, że boli, przecież to szansa abyśmy się czegoś trudniejszego i mniej akceptowalnego o sobie nauczyli. Ta sztuka powstała, jakby to nie zabrzmiało, w ubiegłym wieku, czyli w czasach, w których można było napisać więcej i wyrazić więcej niż dziś, nie obawiając się rozpowszechnionej nadwrażliwości zainteresowanych grup społecznych i nie narażając się na zarzuty z przebogatego katalogu „izmów”. Obawiam się, że dramaturdzy obecnej doby, argumentując swoistą autocenzurę choćby odmienną estetyką i wrażliwością społeczną, po prostu nie chcą być etykietowani jako ejdźści, seksiści, mizoginiści i temu podobni. Nie wiem zresztą czy sam autor, gdyby los mu taką szansę dał w dwadzieścia lat później, ubrałby rzecz w te same słowa i dramaturgiczny konstrukt. Hiperpoprawność potrafi pętać pióra. A przecież starość chce się śmiać i przyzwala na to, aby się z niej śmiano, byle uczciwie, jako że prawdziwie słuszny wiek krytyk się nie boi. Śmiejmy się więc także wtedy, gdy zdarza się nam w nim o tym i owym zapominać, najchętniej o starości właśnie, pamiętając o słowach Słonimskiego, że zapomnianie jest higieną mózgu.

W dramatach Harwooda, poświęconych artystom w czasie starości, mamy dwa jej obrazy. Pierwszy - czwórki z domu artystycznych weteranów, stosujących mniej lub bardziej udolnie kurację śmiechem i ironią, dystansujących się od tego co poza ich mocą, pogodnych w gruncie rzeczy fatalistów. Mamy też portret drugi – neurotycznego starca, władającego już tylko fantomami dawno minionej świetności, pełnego pretensji i resentymetu, niewolniczo wcielonego w postać, którą grał setki razy, spojona z nim tak mocno, że nie jest już w stanie odnaleźć własnego ja, nawet w chwili samotnej śmierci w zatęchłej garderobie.

Wybór spośród tych dwóch opcji wydaje się być oczywisty, a że nader często nim nie jest, tym gorzej dla tych gorzej wybierających. Nie dawajmy się zatem upływowi czasu śmiechem i kpina, solą dowcipu, powtarzając za Słonimskim:

Chcemy prawa

Do kpin

Z różnych nadętych typów.

Dowcip jest bronią,

Ale nie należy karać

Za nielegalne posiadanie dowcipu.

Jest on przecież daleko silniejszy, niż to co u kresu starości, jak klarownie konstatował najbardziej sarkastyczny Skamandryta:

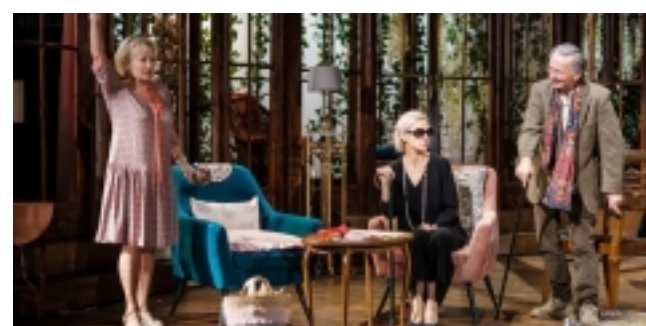
Po mego życia trudach jeśli

Na jakieś względy zasłużyłem,

Nie chcę, by moją trumnę nieśli

Ci właśnie, których nie znośm.

Dbajmy zatem o znośne towarzystwo w nieznośnych okolicznościach, przekorna pokora popłaca, o tym też jest ta sztuka...



Tomasz Młacki

Dziennik Teatralny Warszawa

20 listopada 2021

Spektakle

"Kwartet" - reż. Wojciech Adameczyk - Teatr Ateneum im. Stefana Jaracza w Warszawie

Teatry

Teatr Ateneum im. Stefana Jaracza w Warszawie

Portrety

Wojciech Adameczyk